

Gdym młodości opuścił granice

Młodość była krajem.

Tymoteusz zrozumiał to dopiero wtedy, gdy ją opuścił.

Wcześniej myślał, że młodość jest wiekiem, ciałem, twarzą, szybkim krokiem, włosami bez siwizny, nocą bez konsekwencji, porankiem, który wybacza, pragnieniem, które biegnie szybciej niż myśl.

Ale to był kraj.

Miał swoje granice.

Nie zaznaczone na mapie.

Nie pilnowane przez strażników.

Nie ogłoszone dzwonem.

Człowiek przekraczał je często nieświadomie.

Jednego dnia jeszcze był po tamtej stronie, gdzie wszystko wydawało się możliwe, nawet jeśli nic nie było gotowe.

Drugiego już stał po tej stronie, gdzie możliwości nadal istniały, ale każda miała ciężar, koszt, pamięć, twarz kogoś, kto czeka, i cień czegoś, czego nie można powtórzyć.

Tymoteusz był niegdyś człowiekiem szybkim.

Nie tylko w nogach.

W sądach.

W zachwytach.

W odchodzeniu.

W zakochiwaniu się.

W obietnicach.

W gniewie.

W przebaczeniach także, bo młody człowiek czasem przebacza szybko nie dlatego, że jest wielkoduszny, lecz dlatego, że jeszcze nie wie, co rana zrobi z nim po latach.

Mieszkał w miasteczku położonym przy starym trakcie, gdzie wozy turkotały od świtu, a kurz latem wisiał w powietrzu jak druga pogoda. Jego ojciec był bednarzem. Robił beczki, kadzie, cebry, wiadra, balie. Znał drewno, obręcze, wilgoć i ciepłość.

— Każda rzecz, która ma coś utrzymać, musi znać swoje granice — mówił ojciec.

Tymoteusz śmiał się.

— Znowu beczki.

— Bo beczka dużo wie.

— O życiu?

— O tym, że bez obręczy wszystko się rozchodzi.

Młody Tymoteusz nie cierpiał obręczy.

Granice wydawały mu się wynalazkiem ludzi zmęczonych, którzy utracili odwagę i teraz chcą, żeby inni też chodzili wolniej.

Mówił:

— Życie jest za szerokie na obręcz.

Ojciec odpowiadał:

— Szerokość bez kształtu szybko się rozlewa.

Ale syn już był za drzwiami.

Biegł.

Najpierw do rzeki.

Potem do sąsiednich wsi.

Potem na jarmarki.

Potem z muzykantami, którzy przechodzili traktem i grali tak, jakby świat nie miał rachunków.

Tymoteusz miał głos.

Dobry.

Ciepły.

Trochę chropawy, ale przez to prawdziwy. Śpiewał przy ogniskach, w karczmach, na weselach, czasem na pogrzebach, jeśli ktoś poprosił i jeśli umiał przez chwilę zdjąć z siebie młodzieńczą potrzebę podobania się.

Ludzie słuchali.

Dziewczęta patrzyły.

Starsze kobiety mówiły:

— Zmarnuje się.

Mężczyźni mówili:

— Niech polata, życie go nauczy.

A Tymoteusz słyszał tylko pierwszą część: niech polata.

Miał przyjaciela, Klemensa.

Klemens był inny.

Cichy.

Powolniejszy.

Zawsze z notesem, w którym zapisywał zdania zasłyszane na drogach, nazwy ptaków, ceny zboża, daty deszczu, imiona ludzi, których inni zapominali po jednym wieczorze. Chodził z Tymoteuszem, ale nie biegł tak samo.

— Ty wszystko zapisujesz — mówił Tymoteusz.

— Bo ty wszystko gubisz.

— Nie gubię. Idę dalej.

— Czasem to to samo.

Śmiali się.

Młodość lubi śmiać się z prorocstw, które przychodzą jako żarty.

Pewnego lata do miasteczka przyjechał teatr wędrowny.

Mały.

Z trzema wozami, płachtą na scenę, lampami, kostiumami w kufrach, kulisami z malowanego płótna, aktorką o głosie głębokim jak studnia i dyrektorem, który miał oczy człowieka liczącego jednocześnie pieniądze, talenty i cudzą naiwność.

Tymoteusz zaśpiewał po spektaklu w karczmie.

Dyrektor usłyszał.

— Chłopcze — powiedział — masz w gardle drogę.

To wystarczyło.

Nie powiedział: talent.

Nie powiedział: pracę.

Nie powiedział: lata nauki.

Powiedział: drogę.

Tymoteusz poszedł.

Ojciec stał przy warsztacie.

— Na jak długo? — zapytał.

— Nie wiem.

— Z kim?

— Z teatrem.

— Po co?

— Śpiewać.

Ojciec trzymał w ręku obręcz do beczki.

— A dom?

— Będzie.

— Matka?

— Przecież wrócę.

— Kiedy?

— Jak będę chciał.

Ojciec patrzył na niego długo.

— Gdy człowiek zawsze wraca „jak będzie chciał”, może któregoś dnia odkryć, że już nie wie, gdzie jest powrót.

Tymoteusz poczuł złość.

— Nie będę całe życie obręczą przy becze.

Ojciec spuścił wzrok na metal w dłoni.

— Nie. Ale pamiętaj, że nawet wóz ma koła dlatego, że coś trzyma ich kształt.

Tymoteusz odjechał.

Młodość rozpostarła przed nim swój kraj.

Były drogi, noclegi pod gołym niebem, miasta, w których nikt nie znał jego ojca, kobiety pachnące obcymi mydłami, oklaski, głód, deszcz, śmiech, zazdrość, pierwsze pieniądze zarobione własnym głosem, pierwsze przepite bez myśli, pierwsze kłamstwa powiedziane tak lekko, że nie od razu zabrały.

Śpiewał.

Czasem pięknie.

Czasem byle jak, bo publiczność i tak była pijana.

Czasem dla chorego dziecka w gospodzie, które nie mogło przyjść na przedstawienie.

Czasem dla siebie, gdy wszyscy spali, a on siedział na kole wozu i patrzył w ciemność.

Wtedy śpiewał najprawdziwiej.

Ale młodość rzadko rozpoznaje, kiedy jest najbliżej własnego daru.

Woli miejsca, gdzie ją widzą.

Po dwóch latach Tymoteusz stał się znany w małych kręgach wędrownych teatrów i karczem.

Mówiono: ten od pieśni o rzece. Ten z chropawym głosem.

Ten, co potrafi rozśmieszyć pannę młodą i rozpłakać wdowę.

On sam zaczął wierzyć, że jest kimś, kto nie ma granic.

Ciało pozwalało.

Noc pozwalała.

Droga pozwalała.

A jeśli coś bolało, przykrywał to kolejną pieśnią.

W trzecim roku spotkał Mariannę.

Nie była aktorką.

Była córką właścicielki gospody w miasteczku nad jeziorem. Miała spokojne oczy i taki sposób nalewania zupy, że człowiek czuł się przez chwilę mniej przypadkowy.

Tymoteusz zaśpiewał tam wieczorem.

Marianna słuchała nie jak publiczność.

Nie zachwycała się.

Nie mrugała zalotnie.

Nie wzdychała.

Słuchała tak, jakby sprawdzała, czy pieśń ma dno.

Po występie powiedziała:

— Ładnie pan śpiewa, ale czasem ucieka pan głosem, zanim słowo skończy boleć.

Tymoteusz zaśmiał się.

— Pani się zna?

— Na uciekaniu trochę.

To powinno go zatrzymać.

Ale młodość lubi ludzi, którzy ją rozpoznają, dopóki rozpoznanie brzmi jak obietnica miłości, nie jak wezwanie do prawdy.

Został w gospodzie tydzień dłużej.

Potem miesiąc.

Potem teatr odjechał bez niego.

Mówił:

— Odpocznę.

Marianna mówiła:

— Nie nazywaj wszystkiego odpoczynkiem, jeśli nie chcesz przyznać, że czegoś pragniesz.

Zakochali się.

A raczej Tymoteusz wpadł w uczucie jak w jezioro latem: z rozbiegu, z okrzykiem, z pewnością, że woda go przyjmie.

Marianna kochała ostrożniej.

Nie chłodno.

Ostrożniej.

Wiedziała, że ludzie drogi często obiecują dom, gdy są zmęczeni, a drogę, gdy dom zaczyna od nich czegoś wymagać.

— Zostaniesz? — zapytała kiedyś.

— Tak.

— Nie teraz. Pytam o ciebie, gdy znowu usłyszysz trakt.

Tymoteusz odpowiedział szybko:

— Zostanę.

Za szybko.

Po roku urodził się syn.

Nadali mu imię Jan.

Tymoteusz śpiewał mu do snu.

Nigdy nie śpiewał pięknie.

Dziecko zasypiało, trzymając mały palec na jego brodzie, jakby chciało upewnić się, że głos ma twarz.

Przez pewien czas Tymoteusz naprawdę był szczęśliwy.

Pomagał w gospodzie, śpiewał gościom, naprawiał płoty, woził drewno, uczył się milczeć przy Mariannie, która nie lubiła słów bez potrzeby.

Ale z czasem zaczęło go swędzieć.

Nie ciało.

Granica.

Gospoda miała ściany.

Dziecko miało rytm.

Miłość miała powtarzalność.

Rano trzeba było przynieść wodę.

Wieczorem zamknąć drzwi.

Zimą zadbać o opał.

Gdy Jan chorował, nie można było wyjść z muzykantami do sąsiedniej wsi.

Gdy Marianna była zmęczona, nie wystarczało zaśpiewać.

Trzeba było zostać przy garnkach, przy płaczu, przy rachunkach, przy ciszy.

Tymoteusz nie umiał jeszcze rozpoznać, że to nie miłość go więzi.

To młodość w nim nie chciała opuścić swojego kraju.

Zaczął wychodzić.

Najpierw na wieczór.

Potem na dwa.

Potem z wędrownymi muzykantami na jarmark.

— Wrócę pojutrze — mówił.

Wracał po czterech dniach.

Z pieśniami, prezentem dla dziecka, uśmiechem, winą tak pięknie opowiedzianą, że prawie wyglądała jak tęsknota.

Marianna słuchała.

Nie krzyczała.

Aż pewnego dnia powiedziała:

— Ty wracasz do nas jak gość, który oczekuje, że wszyscy będą się cieszyć, że raczył zapukać.

Tymoteusz oburzył się.

— Przecież jestem.

— Nie. Bywasz.

To słowo było jak zimna woda.

Bywasz.

Młodość Tymoteusza obraziła się na to słowo.

Dojrzałość jeszcze nie miała w nim głosu, żeby powiedzieć: posłuchaj.

Kłócili się.

Coraz częściej.

On mówił:

— Chcesz mnie zamknąć.

Ona mówiła:

— Chcę, żebyś przestał nazywać każdą więź zamknięciem.

On mówił:

— Taki jestem.

Ona odpowiadała:

— Nie wszystko, co powtarzasz, jest twoją naturą.

Czasem to tylko twoja ucieczka, która nauczyła się przedstawiać.

Pewnej jesieni Tymoteusz odszedł znowu.

Miał wrócić po tygodniu.

Nie wrócił przez trzy miesiące.

Śpiewał z trupą na południu.

Publiczność kochała jego głos.

Jedna kobieta płakała przy każdej pieśni.

Jeden młody aktor mówił, że Tymoteusz jest wolny jak ptak.

A Tymoteusz pił te słowa jak człowiek spragniony potwierdzenia, że nie jest tchórzem, tylko artystą.

Wrócił przed zimą.

Gospoda była cicha.

Marianna stała za stołem.

Jan, trzyletni, schował się za jej spódnicą.

Nie poznał go od razu.

To była pierwsza granica młodości, przy której Tymoteusz poczuł drut.

Dziecko, które kiedyś zasypiało z palcem na jego brodzie, patrzyło teraz jak na obcego.

— Janku — powiedział.

Chłopiec nie podszedł.

Marianna rzekła:

— Nie śpiewaj mu od razu.

— Chcę tylko...

— Wiem. Zrobić szybko ciepło tam, gdzie długo było zimno.

Nie wpuściła go wtedy do dawnego łóżka.

Dała mu posłanie w izbie za gospodą.

— Zostaniesz? — zapytała.

Nie jak kiedyś.

Bez prośby.

Bez nadziei podanej na dłoni.

Raczej jak ktoś, kto sprawdza, czy przed drzwiami stoi człowiek, czy znowu piosenka.

Tymoteusz nie umiał odpowiedzieć.

A brak odpowiedzi był odpowiedzią.

Nad ranem wyszedł.

Nie dlatego, że chciał.

Dlatego, że nie umiał znieść miejsca, w którym jego czar przestał działać.

Młodość często myli utratę czaru z utratą miłości.

A to bywa dopiero początek prawdy.

Przez kolejne lata Tymoteusz śpiewał coraz więcej.

Głos miał dojrzałszy.

Głębszy.

Ludzie mówili:

— Teraz to dopiero brzmi.

Nie wiedzieli, że w głosie pojawiła się cena.

Jan rósł bez niego.

Marianna prowadziła gospodę.

Wieści dochodziły czasem przez ludzi.

Syn chorował, ale wyzdrowiał.

Syn poszedł do szkoły.

Syn ma dobry rysunek.

Syn nie lubi, gdy ktoś śpiewa przy stole.

To ostatnie uderzyło go najmocniej.

Tymoteusz śpiewał właśnie w karczmie, gdy usłyszał tę wiadomość.

Dokończył pieśń.

Publiczność klaskała.

On uklonił się.

Potem wyszedł za karczmę i zwymiotował.

Nie od alkoholu.

Od rozpoznania.

Jego dar, nieprzyjęty w odpowiedzialność, stał się dla dziecka śladem nieobecności.

Od tego dnia zaczął tracić lekkość.

Nie głos.

Lekkość.

Dawniej po występie mógł ruszyć dalej bez oglądania się.

Teraz każde miasteczko przypominało pytanie: gdzie nie wróciłeś?

Każdy chłopiec w wieku Jana był jak mały strażnik przy granicy.

Każda gospoda miała twarz Marianny.

Pewnego ranka obudził się w obcym mieście.

Spojrzał w lustro.

Zobaczył siwe nitki przy skroniach.

Nie dużo.

Wystarczająco.

Twarcz nadal miał dobrą.

Głos nadal mocny.

Ciało nadal zdolne do drogi.

Ale coś w oczach było inne.

Nie zmęczenie tylko.

Jakby strażnik na granicy młodości wreszcie podniósł rękę i powiedział:

dalej nie przejdiesz tym samym paszportem.

Tymoteusz usiadł na łóżku i powiedział:

— Gdym młodości opuścił granice...

Nie dokończył.

Bo nie wiedział jeszcze, co jest po drugiej stronie.

Najpierw myślał, że po drugiej stronie jest starość.

To go przestraszyło.

Potem, że kara.

To go przygnębiło.

Dopiero później zrozumiał, że po drugiej stronie młodości nie musi od razu być starość.

Może być odpowiedzialność.

A odpowiedzialność nie jest przeciwieństwem życia.

Jest jego głębszą obręczą.

Wrócił do ojca.

Po wielu latach.

Warsztat bednarski nadal stał, choć ojciec był już stary. Ręce miał powykęcane bólem, ale oczy jasne.

— No — powiedział ojciec — droga cię oddała?

Tymoteusz spuścił głowę.

— Nie wiem, czy oddała, czy wyrzuciła.

Ojciec wskazał stołek.

Usiedli między beczkami.

Przez chwilę słyszeli tylko zapach drewna, bo są miejsca, w których zapach mówi głośniejszym niż ludzie.

— Mam syna — powiedział Tymoteusz.

— Wiem.

— Nie zna mnie.

— Wiem.

— Nie umiem wrócić.

Ojciec wziął starą klepkę, obejrzał ją.

— Bo chcesz wrócić jako młody?

Tymoteusz spojrzał.

— Co to znaczy?

— Chcesz zapukać z głosem, urokiem, żalem, pieśnią, prezentem i oczekiwać, że czas zrobi ci miejsce, jak dawniej robiły dziewczęta w karczmie.

Syn milczał.

Ojciec mówił dalej:

— Do dziecka nie wraca się pieśnią. Wraca się obecnością po pieśni.

— On mnie nie chce.

— Może. Ma prawo.

— To co mam zrobić?

— Przestać pytać najpierw, czy cię przyjmie. Zapytaj, co jesteś gotów nieść, jeśli nie przyjmie od razu.

Tymoteusz poczuł gniew.

Stary.

Młody.

Ostatni może.

— Ty zawsze z tym niesieniem.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

— Bo ty zawsze z tym uciekaniem.

Cisza.

Potem ojciec pokazał mu niedokończoną beczkę.

Klepki stały luźno, jeszcze bez obręczy.

— Widzisz?

— Widzę.

— Każda klepka osobno jest dobra. Ale naczynie powstaje dopiero, gdy zgodzą się na wspólny kształt. Obręcz nie jest więzieniem, jeśli służy temu, by coś mogło zostać utrzymane.

— A jeśli ściśnie za mocno?

— Wtedy pęknie. Dlatego trzeba znać miarę.

Tymoteusz dotknął drewna.

Po raz pierwszy nie usłyszał w słowie „obroż” tylko zakazu.

Usłyszał możliwość utrzymania.

Został u ojca przez zimę.

Uczył się bednarstwa.

Nie po to, by zostać bednarzem.

Po to, by ręce nauczyły go tego, czego głos unikał.

Drewno nie pozwalało na czar.

Jeśli źle dopasował klepkę, ciekło.

Jeśli za mocno nabił obręcz, pękało.

Jeśli za słabo, rozchodziło się.

Jeśli się spieszył, praca mściła się natychmiast.

Ojciec mówił:

— Młodość lubi zaczynać. Dojrzałość uczy się trzymać.

— A starość?

— Oddawać.

Tymoteusz zapisywał czasem zdania w zeszycie Klemensa, który znalazł po latach w starym kufrze. Przyjaciel umarł na suchoty kilka lat wcześniej. Zostawił notatki, w tym jedno zdanie o Tymoteuszu:

„On będzie tak, jakby niebo było mu winne drogę, a ziemia nie miała prawa prosić o ślad.”

Tymoteusz długo płakał nad tym zdaniem.

Bo było prawdziwe.

Wiosną poszedł do Marianny.

Nie zaśpiewał pod oknem.

Nie przyniósł wielkiego prezentu.

Nie ubrał się jak dawny wędrowny artysta.

Przyszedł w prostym płaszczu, z małą beczką własnej roboty.

Nie dla ozdoby.

Dla pracy.

Marianna była starsza.

Piękna inaczej.

Nie pięknem oczekiwania, lecz kobiety, która wiele przeszła i nie prosi już, by ktoś nazwał ją szczęśliwą.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Zobaczyć Jana, jeśli pozwolisz. I powiedzieć ci prawdę bez pieśni.

— Prawdę?

— Że byłem gościem tam, gdzie miałem być ojcem. Że myliłem drogę z wolnością, a więź z zamknięciem. Że jeśli Jan nie chce mnie znać, to ma powody. I że nie przychodzę po szybkie przebaczenie.

Marianna patrzyła długo.

— Kto cię tego nauczył?

— Granica.

— Jaka?

— Młodości.

Nie uśmiechnęła się.

Ale w jej oczach coś drgnęło.

— Jan ma czternaście lat — powiedziała. — Nie jest już dzieckiem od twojej brody.

— Wiem.

— Nie lubi śpiewu.

— Wiem.

— Może nie wyjdzie.

— Poczekam.

— Ile?

Tymoteusz poczuł dawny odruch: odpowiedzieć pięknie.

Całe życie.

Zawsze.

Tyle, ile trzeba.

Zatrzymał się.

— Dziś do wieczora — powiedział. — A potem zapytam, czy mogę przyjść jutro.

Marianna skinęła głową.

To była pierwsza właściwa obręcz: nie wielka obietnica bez kształtu, lecz jeden dzień.

Jan nie wyszedł tego dnia.

Tymoteusz siedział na ławie pod gospodą do zmroku.

Ludzie patrzyli.

Ktoś rozpoznał go i chciał, żeby zaśpiewał.

Odmówił.

— Chory głos? — zapytał ktoś.

— Nie. Dziś nie jest do użycia.

Przyszedł następnego dnia.

Jan nie wyszedł.

Trzeciego wyszedł.

Wysoki, chudy, z oczami Marianny i ustami zaciśniętymi jak u człowieka, który za wcześnie nauczył się nie czekać.

— Pan jest Tymoteusz? — zapytał.

Nie „ojciec”.

Pan.

Tymoteusz przyjął.

— Tak.

— Matka mówi, że pan chce mnie znać.

— Chcę. Ale nie mam prawa żądać.

Jan spojrzał na beczułkę.

— To dla mnie?

— Jeśli chcesz. Sam zrobiłem.

— Po co mi beczka?

Tymoteusz prawie się uśmiechnął.

— Nie wiem. Może na wodę. Może na nic. Może tylko jako dowód, że uczę się robić rzeczy, które mają trzymać.

Jan patrzył podejrzliwie.

— Śpiewa pan jeszcze?

— Tak.

— Ja nie lubię.

— Wiem.

— Bo jak byłem mały, matka czasem płakała, gdy ktoś śpiewał.

Tymoteusz poczuł, jak coś w nim chce się bronić.

Nie zrobił tego.

— Przykro mi.

— To mało.

— Wiem.

Jan wziął beczkę.

— Przyjdzie pan jutro?

To pytanie było tak proste, że prawie go złamało.

— Jeśli mogę.

— Możesz. Ale bez śpiewania.

— Dobrze.

Tak zaczęli.

Nie od wielkiego pojednania.

Od jutra.

Od chodzenia po drewno.

Od naprawy płotu.

Od milczących spacerów nad jezioro.

Od pytań Jana zadawanych nagle i ostro:

— Czemu odchodziłeś?

— Bo byłem niedojrzały.

— To znaczy?

— Że gdy coś wymagało ode mnie trwania, czułem to jako zamknięcie.

— A ja?

— Ty wymagałeś trwania najbardziej. Dlatego uciekłem najdalej.

Jan rzucił kamień do wody.

— To głupie.

— Tak.

— I krzywdzące.

— Tak.

— I nie naprawisz.

— Nie całkiem.

— To po co przychodzisz?

— Żeby nie dokładać kolejnych lat nieobecności do tych, których nie naprawię.

Jan nic nie odpowiedział.

Ale następnego dnia znowu przyszedł.

Tymoteusz uczył się ojcostwa późno.

Nie jako roli pełnej praw, lecz jako służby przy zranionej więzi.

To była dojrzałość po granicy młodości: robić coś bez pewności nagrody, bez oklasku, bez natychmiastowej ulgi, bez możliwości cofnięcia czasu.

Po kilku miesiącach Jan poprosił:

— Zaśpiewa pan coś?

Tymoteusz zamarł.

— Jesteś pewien?

— Tylko nie tę o rzece. Matka jej nie znosi.

— Dobrze.

Zaśpiewał cicho.

Nie pieśń karczemną.

Kołysankę, którą śpiewał mu kiedyś do snu.

Jan słuchał.

Nie pamiętał jej świadomie.

Ale ciało może pamiętać głos sprzed gniewu.

Po pieśni powiedział:

— Znam to.

— Tak.

— Skąd?

Tymoteusz miał łzy w oczach.

— Ode mnie. Zanim odszedłem za wiele razy.

Jan siedział długo.

Potem powiedział:

— Nie wiem, czy chcę, żebyś był ojcem.

Pierwszy raz powiedział „ty”.

Tymoteusz odpowiedział:

— Rozumiem.

— Ale możesz być Tymoteuszem, który przychodzi.

— To dużo.

— Nie wiem, czy dużo.

— Ja wiem.

Marianna obserwowała ich z daleka.

Nie wrócili do małżeństwa.

To byłaby inna opowieść i nieprawdziwa, gdyby wymusić na niej piękne domknięcie.

Ona miała swoje życie.

Swoją siłę.

Swoją ranę.

Tymoteusz nie miał już prawa żądać miejsca, które kiedyś zostawił puste.

Ale stali się ludźmi, którzy mogli rozmawiać bez dawnego noża.

Pewnego wieczoru powiedziała mu:

— Teraz śpiewasz lepiej.

— Głos się postarzał.

— Nie o to chodzi.

— A o co?

— Przestałeś śpiewać, żeby uciec przed ciszą po pieśni.

To było prawdziwe.

Po granicy młodości pieśń nie straciła skrzydeł.

Dostała ziemię.

Tymoteusz nie porzucił drogi.

Ale przestał być jej sługą w stary sposób. Jeździł czasem śpiewać, ale mówił, dokąd jedzie i kiedy wraca.

Wracał. Jeśli nie mógł, pisał. Nie obiecywał więcej, niż mógł unieść.

Z czasem Jan pojechał z nim raz.

Potem drugi.

Nie jako mały chłopiec zachwycony ojcem.

Jako młody człowiek sprawdzający, kim jest ten, który kiedyś był legendą i raną jednocześnie.

Po jednym występie ktoś krzyknął:

— Tymoteusz, wolny ptak!

Jan spojrzał na niego.

Tymoteusz odpowiedział publiczności:

— Ptak też wraca do gniazda, jeśli nie pomylił wolności z wiecznym odlotem.

Ludzie zaśmiali się.

Nie wszyscy zrozumieli.

Jan zrozumiał.

Na starość Tymoteusz wrócił do rodzinnego warsztatu bednarskiego.

Ojciec już nie żył.

Warsztat pachniał mniej intensywnie, bo drewna było mniej. Ale narzędzia wisały na swoich miejscach.

Tymoteusz robił małe beczki, kadzie, czasem instrumenty z drewna, czasem naprawiał stare naczynia.

Śpiewał rzadziej, ale gdy śpiewał, ludzie milczeli głębiej.

Na ścianie powiesił zdanie:

**Gdym młodości opuścił granice,
nie wszedłem od razu w starość.
Wszedłem w kraj,
gdzie każde pragnienie pyta o odpowiedzialność,
każda droga o powrót,
każde słowo o ciężar,
każdy dar o służbę,
a każda wolność o kształt,
który pozwoli jej nie rozlać się w cudzą krzywdę.**

Pod spodem dopisał:

**Nie żałuj młodości, że była szeroka.
Żałuj tylko tych miejsc,
gdzie szerokość pomyliłeś z prawem do niezostawiania.**

Do warsztatu przychodzili młodzi.

Z ogniem w oczach.

Z planami.

Z niechęcią do obręczy.

Tymoteusz nie gasił ich.

Nie stał się starcem, który każde pragnienie młodego człowieka nazywa głupotą. Wiedział, że młodość ma swoją świętą bezczelność wobec niemożliwego i że bez niej świat zgnuśniałby w bezpiecznych izbach.

Mówił tylko:

— Idź. Ale ucz się wracać.

— Kochaj. Ale nie myl zachwyty z obecnością.

— Śpiewaj. Ale zostań po pieśni.

— Obiecuj mniej, niż potrafisz powiedzieć w uniesieniu, a więcej dotrzymaj.

— Nie pogardzaj obręczą. Zapytaj, czy trzyma życie, czy je dławi.

— Nie każde ograniczenie jest więzieniem. Nie każda swoboda jest wolnością.

Młodzi słuchali różnie.

Jak to młodzi.

Jedni się oburzali.

Inni zapamiętywali po latach.

Najczęściej dopiero wtedy, gdy sami opuszczali granice młodości i dziwili się, że nie ma tam strażnika z trąbką, tylko cichy rachunek rzeczy niedokończonych.

Kiedy Tymoteusz umierał, Jan siedział przy nim.

Już dorosły.

Z własnymi dziećmi.

Nie nazywał go ojcem zawsze.

Czasem mówił „ojcze”.

Czasem „Tymoteuszu”.

Czasem nic.

To było ich prawdziwe.

— Żałujesz? — zapytał Jan.

Tymoteusz spojrzał na niego.

— Tak.

— Czego najbardziej?

— Że młodość dała mi głos, a ja długo nie umiałem dać jej serca, które zostaje.

Jan milczał.

— A nie żałujesz drogi?

Tymoteusz uśmiechnął się słabo.

— Nie całej. Droga nauczyła mnie śpiewać.

Ale żałuję, że czasem robiłem z niej usprawiedliwienie dla nieobecności.

— Myślisz, że ci wybaczyłem?

To pytanie zawisło ciężko.

— Nie wiem — odpowiedział Tymoteusz. — I nie chcę ci tego wkładać do ust.

Jan wziął jego rękę.

— Nie wszystko. Ale dużo.

Tymoteusz zamknął oczy.

— To dużo.

— Wiem.

Za oknem wiatr poruszał starymi obręczami zawieszonymi pod dachem warsztatu.

Brzęczały cicho.

Jak dalekie koła wozu.

Jak droga, która nie woła już do ucieczki.

Jak młodość, która nie została przeklęta, lecz odprowadzona do granicy.

Po śmierci Tymoteusza Jan znalazł w jego zeszycie ostatni zapis:

Młodość była krajem, w którym wszystko chciało się zacząć.

**Dojrzałość jest krajem, w którym człowiek pyta,
co z tego, co zaczął, umie utrzymać bez krzywdzenia.**

**Starość, jeśli przyjdzie łaskawie,
jest krajem oddawania:**

głosu ciszy,

drogi powrotowi,

winy prawdzie,

miłości wolności drugiego,

a siebie ziemi,

z której przez całe życie próbowało się uciec i do której przez całe życie się wracało.

Jan przepisał te słowa na deskę i powiesił w warsztacie.

Nie jako pomnik.

Jako granicę.

Żeby młodzi, wchodząc, widzieli, że nie chodzi o to, by młodość potępić.

Chodzi o to, by nie zostać w niej po terminie.

Bo młodość jest piękna, kiedy otwiera.

Tragiczna, kiedy odmawia dojrzewania.

Święta, kiedy niesie pierwszy ogień.

Niebezpieczna, kiedy każe innym płacić za swoją niechęć do obręczy.

A człowiek opuszcza jej granice nie wtedy, gdy pojawia się pierwsza siwizna,

lecz wtedy,
gdy przestaje pytać tylko:
dokąd mogę iść?
i zaczyna pytać:
co mój krok zrobi z tymi,
którzy mnie kochają,
czekają,
albo już przestali czekać?